

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

5

Na koźle pustej maszyny siedział tylko szofer i chociaż tenże miał oczy przysłonięte wielkimi, czarnymi okularami i duże ciemne wasy zakrywały mu część twarzy, młody człowiek zauważył z silnem wzruszeniem, że dziwnie przypominał barczystą postać czcigodnego ojca Nataniela Bodminster.

Włodzimierz Guzow był tak zaskoczony tem spostrzeżeniem, że chcąc przekonać się, czy się nie myli, postanowił wysiąść z omnibusu i podejść do automobilu.

— To przecież niemożliwe, żeby to miał być ojciec Nataniel — pomyślał młody człowiek, wychodząc z powozu.

Ale w tej samej chwili szofer, zauważywszy widocznie, że przejazd jest już wolny, skręcił maszynę i odjechał szybko.

— To musiało być optyczne złudzenie! — szepnął Guzow z niechęcią — Przemęczyłem się dzisiaj bardzo w pracowni.

I nie myśląc o tem już więcej, usiadł z powrotem do omnibusu.

W kilka dni po tem wydarzeniu, młody uczony powracał do pensjonatu „Europa“ w bardzo wesołym usposobieniu.

Pomimo wielkiego znużenia, czuł jak radość rozsadza mu piersi. Ten dzień miał być ważnym w jego życiu, udało mu się bowiem wywołać trzy przepyszne dyamenty, które jakością i wielkością przechodziły znacznie ów pierwszy kamień, wywołany dawniej w okolicznościach mniej sprzyjających. Pod wrażeniem tego tryumfu i zadowolenia postąpił tego dnia wbrew przyjętym zwyczajom.

Bez najmniejszej już ostrożności zatelefonował do bankiera Versigny, sądząc, że o tej porze będzie w domu, tak gwałtownie pragnął podzielić się z nim jak najspieszniej tą szczęśliwą wiadomością.

Ale odpowiadano mu, że pan Versigny spędzić ma ten wieczór w mieście i zapewne powróci późno. Włodzimierz Guzow musiał więc cierpliwie czekać dnia następnego.

Cały wieczór był jednak roztargniony i oderwany zupełnie myślami od otoczenia. Przy wspólnym stole w pensjonacie jadł niewiele, a mówił jeszcze mniej. Niezwykłe to usposobienie zwróciło uwagę pani Lutin:

— Panie Guzow! — odezwała się, przypatrując się życzliwie młodemu człowiekowi — Co się z panem dziś dzieje? Nie zwraca pan najmniejszej na nas uwagi i nawet nie spostrzegł pan, że dziś na obiad są wybrane ulubione pana potrawy.

— Czy naprawdę sądzi pani, że jestem dzisiaj innym, niż kiedykolwiek — odparł wymijająco Guzow.

— Ależ oczywiście! Gdybym nie wiedziała, że tylko nauka ma dla pana pewną wartość, sądziłabym, że jest pan zakochany.

Na to przypuszczenie młody człowiek roześmiał się serdecznie.

— Pani ma bujną wyobraźnię, pani Lutin — odparł żartobliwie — Niedługo przypisze mi pani wszystkie cierpienia nieszczęśliwego Werthera.

Nagle do rozmowy wmieszał się czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

— Przeciwnie, kochany panie! — rzekł poważnie — Nie cierpienia malują się na twarzy pana, lecz radość. Mam przekonanie, że spotkało pana coś bardzo dobrego.

— To prawda! — oświadczył Włodzimierz Guzow — Czuję się bardzo szczęśliwym i zadowolonym.

— Tem lepiej. Miło mi będzie pozostawić pana w tak pogodnym usposobieniu.

— Pozostawić? Nie rozumiem. Czy ojciec zamierza już opuścić nas?

— Niestety. Muszę jutro powrócić do Anglii. Komitet naukowy, który mnie tu wysłał, wzywa mnie. Ale mam nadzieję, że powrócę tu za kilka tygodni i zastanę pana jak dziś wesołego i w szczęśliwym usposobieniu.

Ostatnie te słowa ojciec Nataniel wymówił, jak gdyby śląc błogosławieństwo na głowę młodego człowieka, a kiedy powstano od stołu i Guzow zmęczony dążył do swego pokoju, aby odpocząć chwilę — na korytarzu zatrzymał go jeszcze ojciec Nataniel.

— Przykro mi żegnać się z panem. — wyrzekł ściskając silnie jego rękę — Wspominać cię będę,

mój młody przyjacielu, zawsze z najwyższą życzliwością.

Guzow podziękował mu uprzejmie za te słowa i wszedł prędko do swojego mieszkania. Rozebrał się szybko, pragnąc jak najspieszniej znaleźć się w wygodnym łóżku i owinąwszy starannie w chusteczkę zdobyczą swoją, wsunął ją przez ostrożność pod materac. — Następnie zagaszył światło i usnął wkrótce.

W kilka minut później czcigodny ojciec Nataniel pożegnał się ze wszystkimi gośćmi pani Lutin i udał się do siebie, mówiąc, że jest zmuszony wyjechać nazajutrz o wcześniejszej bardzo godzinie.

Pani Lutin, dla której odjazd ojca Nataniela był istną katastrofą, żegnała go ze łzami w oczach i oświadczyła, że choć przyzwyczajona spać do godziny ósmej, pożegna go raz jeszcze przy wyjeździe.

Ale ojciec Nataniel, dziękując jej w gorących słowach za okazaną sympatię, prosił, aby się nie fatygowała tak wcześnie.

— Nie lubiłem nigdy scen pożegnalnych — dodał — Zaostrzają one tylko boleść każdego rozstania. Zatem, kochana pani Lutin, proszę nie wstawać rano i nie czynić mi tej przykrości. Przecież zobaczmy się niezadługo, za kilka tygodni najwyżej.

I pani Lutin odeszła wzruszona i wzdychając ciężko pomyślała, że przecież niema na całym świecie zacniejszego człowieka, jak czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

Myśl rozstania się z nim łagodziła nadzieja powrotu, bo nawet kazał zatrzymać dla siebie pokój zawsze zajmowany i pozostawił w nim niektóre swoje rzeczy.

Ojciec Nataniel zaś, powróciwszy do swojego mieszkania, zapalił świecę i stanął na chwilę na środku pokoju, zamyśliwszy się głęboko.

Twarz jego przybrała wyraz skupiony i surowy.

— No, trzeba się zabierać do roboty! — szepnął wkońcu — Wszyscy już spać muszą, nikt mi zatem przeszkodzić nie może.

Podszedł do drzwi, zamknął je na klucz, klucz wyciągnął ze zamku i w otwór włożył kawałek waty.

Poczem zrzucił z siebie szybko swój długi surdut, wyjął z kufra trykoty czarne i obcisłe i włożył je, uśmiechając się przy tej czynności ironicznie.

— Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster w trykotach. — pomyślał — Niezła farsa!

Przebrawszy się, wyciągnął z komody torbeczkę skórzaną, z której wyjął waporyzator i mikrofon, który mu kiedyś posłużył do szpiegowania rozmowy Włodzimierza Guzowa i bankiera Versigny. Wsunął delikatnie końce aparatu do otworu w ścianie, wierconego przez niego dawniej jeszcze na ten użytek i począł nad słuchiwać. Na twarzy jego przewinęła się wkrótce uśmiech zadowolenia. Z drugiego pokoju dobiegł jego uszu oddech miarowy i silny.

— Spi — szepnął cicho — Nie prędko się obudzi z tego pierwszego snu, tembardziej, że miał dzisiaj wygląd człowieka bardzo zmęczonego i wyczerpanego.

Zastąpił teraz mikrofon rozpylaczem i powoli, regularnymi ruchami zaczął naciskać gruszkę gutaperkową. W pewnych odstępach czasu znowu przy pomocy mikrofonu nad słuchiwał i powracał następnie do swojej tajemniczej czynności.

Po jakimś czasie odjął rozpylacz. Zaopatrzony się we dwie serwety i duży tampon z waty, który zamoczył w płynie pozostałym w rozpylaczu, zawiesił na szyi kawałek zwiniętego sznura i pomagając sobie specjalnymi narzędziami z żelaza błyszczącego, otworzył drzwi w bocznej ścianie, komunikując się z przyległym pokojem. Wówczas zagaszył świecę i stąpając ostrożnie, wsunął się do mieszkania Włodzimierza Guzowa. Bez wahania, znając widocznie dobrze rozkład pokoju, podszedł do łóżka i zręcznym ruchem nałożył tampon z waty na twarz śpiącego. Lekkie drżenie przebiegło ciałem młodego człowieka, lecz nie obudził się, bo piers jego dalej poruszała się równym, miarowym oddechem.

Ojciec Nataniel Bodminster przeczekał chwilę, poczem wyjąwszy z kieszeni krytą latarkę, skierował światło na twarz młodego człowieka. Musiał się uczuć zadowolonym ze swej roboty, bo mruknął z radością:

— Teraz jesteś w mojej mocy, panie wynalazco. Nie zbudzisz się ty już tak prędko!

Otworzył siłą zwarte szczęki śpiącego i wsunął w nie zwiniętą silnie serwetę, nałożył na usta tampon wilgotny i przymocował go drugą serwetą, wiążąc ją na szyi. Następnie wyciągnął Guzowa z łóżka i związał mu silnie ręce i nogi przygoto-

wanym sznurem, ubrał go jako tako i na nogi włożył mu obuwy.

Teraz szybko zaczął przeglądać meble, szuflady biurka i nocnego stolika, przeszukał łóżko całe, zaglądając pod materac, bystrem spojrzeniem objął pokój cały, chcąc przekonać się, czy nic nie zdradzi tych nocnych odwiedzin jego i wyciągnął klucz z zamku drzwi, wiodących na korytarz.

Zabezpieczwszy się w ten sposób, podjął w silne swoje ramiona ciało młodego uczonego i przeniósł je do swojego pokoju.

Około godziny szóstej rano czcigodny ojciec Nataniel Bodminster w kostymie podróżnym, szerokiej, ciemnej pelerynie, w miękkiej, angielskiej czapce, ukazał się na korytarzu pierwszego piętra. Zawołał służącego Adolfa, który jeden w pensjonacie całym był już na nogach i poprosił go o zniesienie walizy i zawołanie doróżki. Sam zaś dźwigał na plecach duży, płaski koszyk. Kiedy Adolf powrócił za chwilę, oznajmiając, że powóz czeka już na ulicy, ojciec Nataniel polecił mu nie ruszać nic z jego pokoju, gdyż ma zamiar powrócić wkrótce i nie lubi, aby ktoś dotykał jego rzeczy. Wyjął z kieszeni złotą monetę, którą wręczył uradowanemu staremu, zeszedł poważnie ze schodów i wsiadł do doróżki, dając furmanowi rozkaz zawiezienia go na dworzec północny.

Jednakże w połowie drogi zmienił zdanie: wychylił się z powozu i zawołał:

— Mój przyjacielu, zdaje mi się, że nie jedziemy w dobrym kierunku.

— Wielebny ojciec kazał mi jechać na dworzec północny — odparł doróżkarz.

— Widocznie pomyliłem się, mój kochany. Wyjeżdżać mam z dworca wschodniego. Proszę cię nawrócić i pospiesz się, abym zdążył na mój pociąg.

Przyjechawszy na dworzec, ojciec Nataniel sam własnoręcznie zdjął z powozu koszyk swój i obecnym był, kiedy go posługacz umieścił w sali bagażów, odebrał kwit i zniknął z dworca.

W pół godziny później czcigodny ojciec Nataniel Bodminster powrócił obszernym, zielonym automobilem, przy pomocy szofera odebrał koszyk swój, umieścił na maszynie i odjechał szybko. Nie uznał za stosowne objaśnić nikogo dokąd zdążył, a nikt się o to go nie zapytał.

Podziemie.

Kiedy Włodzimierz Guzow otworzył oczy, nie mógł sobie jeszcze zdać sprawy, gdzie jest i co się z nim stało. Umysł jego uśpiony i bezczynny nie mógł się zdobyć na myśl żadną. Długą chwilę leżał ogłuszony, pogrążony w jakimś beładzie i zaniku wszelkich objawów życia.

Po jakimś jednak czasie organizm jego budzić się zaczął. Odrętwiały mózg przejmował zewnętrzne wrażenie. Zauważył przy świetle małej pochodni, przytwierdzonej do stolika, że znajduje się w ciemnym podziemiu, z którego ścian wilgoć ściekała strugami. Zdał sobie również sprawę, że leży na jakimś niskim, bardzo twardym posłaniu.

Długą chwilę męczyło go pytanie, dlaczego nie może dowoli poruszać rękami i nogami. Zrozumiał wkońcu, że przytwierdzony został mocno rzemieniami sznurami do ścian, wznoszących się nad posłaniem.

Spojrzenia jego pobiegły wokół: był sam w rodzaju kwadratowej piwnicy, mającej tylko jedno, ciężkie drzwi żelazne. Jedyne okienko w górze ściany założone było deską.

Już teraz życie powracało do jego ciała wraz z możliwością rozróżnienia przedmiotów. Uczuł nagle okropną pustkę pod czaszką, silne nudności i bóle w żołądku.

Miał wrażenie za każdym, nierównym uderzeniem serca, że pogrąży się znowu w ciemność tajemniczą.

Jednakże pamięć jego wolno pracować zaczęła, chociaż utrudniał jej tę czynność opar jakiś mglisty i ciężki.

Silnem napięciem woli starał się nagromadzić wspomnienia przeżyć ostatnich i doprowadzić do zrozumienia obecnego stanu. Przez drobniagowe, pracowite przywoływanie okoliczności i klasyfikowanie drobnych szczegółów z uporem i natężaniem energii i woli, doszedł do uzmysłowienia poszczególnych faktów tego ostatniego dnia.

Przypominał sobie, że ten dzień był najszcześniejszy w jego życiu. — W laboratorium swoim w Saint-Oven, gdzie zajęty był pracą od samego świtu do wieczora, dokonał szczęśliwie ostatniej, decydującej próby, która uczyniła go właścicielem trzech przepięknych kamieni, wielkiej wartości. — Dodatni ten wynik przeszedł wszelkie jego oczekiwania. Pamięta, że chciał natychmiast podzielić się